



Debra Adelaide „Domowy poradnik umierania”
Fragment

Rozdział drugi

Droga Delio,

czy możesz rozstrzygnąć moją dysputę z przyjaciółką (gramy razem w golfa)? Ona twierdzi, że zakupy spożywcze należy robić wyłącznie z listą. Że bez niej marnuję czas i wydaję więcej pieniędzy. Zawsze się nad tym zastanawiam i przyznaję, że czasem wracam do domu i uświadamiam sobie, że zapomniałam o żarówce czy mące ryżowej. Ale ona też.

Zagubiona

PS Obie mamy sześćdziesiąt pięć lat.

Zagubiona,

jestem pewna, że niezrównana Isabella Beeton stwierdziłaby, iż doskonała pani domu nigdy nie powinna wychodzić na zakupy bez listy. Uważa się, że lista pozwala uniknąć zakupów pod wpływem impulsu. Że dzięki niej pozbawiony skrupułów sprzedawca nie wciśnie klientowi niepotrzebnych towarów. Ale życie jest krótkie. Spontaniczność również ma swoje zalety. Być może czasem zapominasz o żarówkach, ale założę się, że kupujesz czekoladowe ciasteczka z kremem, kiedy są przecenione, albo dodatkowe puszki łososia, nawet jeśli masz już zapas. I założę się, że twoja przyjaciółka z listą postępuje dokładnie tak samo.

PS Pani Beeton zmarła w wieku dwudziestu ośmiu lat. Twoja przyjaciółka mogłaby mieć to na uwadze, kiedy następnym razem będzie przygotowywać listę.

*

Prowadzenie gospodarstwa domowego uznano za gałąź nauki gdzieś w latach siedemdziesiątych. Nigdy nie chodziłam na te zajęcia, bo zostałam odpowiednio wyszkolona w domu przez matkę i babkę. Obie wierzyły w rzucanie na głęboką wodę. I tak babka, która opiekowała się mną w wieku przedszkolnym, po prostu wskazywała mi właściwy kierunek, a ja zaczynałam szorować, namaczać, zmywać i zmiatać razem z nią. Kiedy byłam nieco starsza, pałeczkę przejęła moja matka, Jean, która specjalizowała się w pracach kuchennych. Musiałam niemal bez wskazówek ubijać, zagniatać i gotować (a później również smażyć). Obie zakładały, że wszystko od nich podłapię, że jako kobieta nauczę się wszystkiego przez osmozę. Ktoś mógłby uznać ten pomysł za absurdalny, lecz w teorii osmozy coś musiało być, bo uczyłam się bez trudu. Znałam się na szyciu, gotowaniu, sprzątaniu i robótkach ręcznych. Kiedy w szkole średniej zostałam zmuszona do odbycia trwającego semestr kursu gotowania, uświadomiłam sobie, że wiem już wszystko. Uczenie się prowadzenia gospodarstwa domowego wydawało się równie banalne, jak uczenie się wsiadania do autobusu albo wysyłania listu. Przecież wszyscy to robią. A w tamtych czasach interesowałam się przede wszystkim filmami, książkami i muzyką, na co nie było miejsca w ascetycznej kuchni pani Lord ani podczas lekcji szycia panny Grover.

Trzydzieści lat później wszystko wyglądało zupełnie inaczej. My, kobiety z początków dwudziestego pierwszego wieku, miałyśmy świadomość rozdarcia między domową wolnością a niewolą. Gospodarstwo domowe dojrzało do przemian. Zgadzały się z tym nawet teoretycy. Koniec z aniołami, zostały wygnane przed wieloma laty. Teraz kobieta mogła być boginią, piękną twórczynią sutych posiłków we wspnianiałych

kuchennych świątyniach. Albo domową dziwką, zuchwale podająca kupne risotto i przerośnięte ostrygi, a zmywanie pozostawiającą innym. Bogini albo dziwka – obie do przyjęcia.

Natomiast dla Isabelli Beeton prowadzenie gospodarstwa domowego było kwestią wojskowej dyscypliny i politycznej strategii, pani domu zaś pełniła jednocześnie funkcję dowódcy armii i właściciela przedsiębiorstwa. Na początku dwudziestego wieku prowadzenie domu należało do dziedziny ekonomii, a jego właścicielka stanowiła podporę autonomicznej jednostki gospodarczej. Później zmieniło się w naukę, a wszystko, co działo się w gospodarstwie, sprowadzało się do czystej logiki i procesów liniowych. Przygotowywanie blachy ciastek niczym się nie różniło od destylowania związku chemicznego. Dzieci potraktowane z troską i surowością w odpowiedniej proporcji wyrastały równie dobrze, jak babeczki trzymane przez piętnaście minut w piekarniku nagrzanym do stu siedemdziesięciu stopni. Ale przekształcenie prowadzenia domu w naukę nie oznaczało, że kobieta automatycznie stawała się naukowcem. Pod okupacją nie mogło do tego dojść.

W końcu dom stał się miejscem. Prowadzenie gospodarstwa, tak jak wszystko inne, od surfowania po zapasy w kisielu, zostało zagarnięte przez teoretyków. Nie wiem, jak nazywa się teraz ten przedmiot w szkole średniej, ale założę się, że nie zawiera słowa dom. Nie wątpię, że powstaje mnóstwo projektów badawczych i dysertacji na temat domu traktowanego jako locus, dyskursu odkurzania i multimodalności robota kuchennego.

A może nie. To w końcu kobieca robota.

*

Pewnego ranka przyglądałam się liście, którą zdjęłam z kuchennej ławy. Wciąż leżałam w łóżku, tym samym, w którym przez ostatnie kilkanaście lat igrałam z mężem i przeżywałam najwspanialszy i najbardziej podniecający seks w życiu – choć, jak sobie teraz uświadomiłam, nieco zbyt rzadko; poczęłam tu dwójkę dzieci i urodziłam jedno z nich (drugie było blisko, ale postanowiło skorzystać z prawa przyjścia na świat w szpitalu); przeczytałam mnóstwo książek, wiele doskonałych i równie dużo rozkosznie złych; w niedzielne poranki wypijałam niezliczone filiżanki herbaty, przeglądając z mieszaniną cynizmu i rozbawienia artykuły w brukowcach; i robiłam notatki na różne tematy, w tym o sporządzaniu list.

Listy nie były nieodłączną częścią mojego życia. Nic by się nie zmieniło, gdybym nie napisała już żadnej i przypuszczam, że bez nich też bym sobie poradziła. Ale tego ranka lista nie była dla mnie, a przygotowałam ją w nocy.

Wstawić pranie.

Nakarmić kury resztkami.

Nakarmić ryby/myszy

(sadzawka i akwarium).

Obudzić dziewczynki.

Przygotować kanapki do szkoły

(dla E bez masła orzechowego).

Nakarmić dziewczynki

(nie dawać D mleka czekoladowego do płatków).

Przypomnieć E o pracy domowej.

Sprawdzić, czy D ma podręcznik, torbę biblioteczną.

Wywiesić pranie.

Opróżnić/napełnić zmywarkę.

Dziewczynki do szkoły pół godz. wcześniej (chór)

Jak również:

Wziąć prysznic (jeśli możl!)

Zrobić kawę i wypić gorącą (ha!)

Zaczęłam tworzyć takie listy rok temu, kiedy stało się jasne, że niektóre zadania będą musiały zostać komuś przekazane. Aż wszystko się wyjaśni. Takiego określenia używaliśmy na opisanie przyszłości, która ziała przed nami niczym

paszcza krokodyla, głęboka i onieśmielająca. Przygotowywanie list było trudne, ponieważ musiałam opisywać rzeczy, które robiłam intuicyjnie przez wiele lat. Co uwzględnić, a co pominąć? Późnym wieczorem umieściłam listę w strategicznym miejscu pod młynkiem do pieprzu. Kiedy następnego ranka dziewczynki przyszły, żeby pocałować mnie na pożegnanie, byłam zbyt senna, by ocenić, czy zostały odpowiednio uczesane i umyły zęby. Mruknęłam coś i uniosłam głowę, chcąc dotknąć wargami ich policzków. Gdy obudziłam się później, na pościeli leżało brązowe pióro. Liczyłam, że nie zabrały kur do szkoły.

Kiedy znów przeczytałam listę, zastanawiałam się, jak Archie czuł się wcześniej tego ranka - był oburzony czy speszony, obrażony czy wdzięczny? Zastanawiałam się, czy powinnam była nakazać, by dziewczynki włożyły szkolne mundurki, i przypomnieć mu o czapkach. Później zaczęłam mieć wątpliwości, dlaczego uważam to za tak ważne. Wstałam i wyrzuciłam listę do kosza na śmieci. Archie pewnie nawet jej nie zauważył.

*

Zazwyczaj budzę się wcześniej, jeszcze przed wschodem słońca. Poprzedniego dnia zrobiłam sobie dzbanek herbaty i zabrałam kubek do ogrodu. Część kur już gdakała cicho. Usiadłam na wiklinowym krześle pod drzewem parasolowym, trzymając w ręku kubek i słuchając. Zawsze uważałam, że odgłosy wydawane przez kury są bardzo przyjemne. Cała piątka przepychała się i sprzeczała przy wychodzeniu z kurnika, kiedy zrobiło się jasno. Lizzie - Elisabeth - najmniejsza i najładniejsza, ukazała się pierwsza, prowadząc wyprawę. Należała do rasy Sussex w odmianie jasnej, jej czarna grzywa wyglądała niczym szal na tle białego upierzenia, i była apodyktyczna. To ona dyktowała innym kurom, w jakiej kolejności powinny opuszczać kurnik. Ostatnia pojawiła się Kitty, ciemnobrazowa, a na końcach piór niemal czarna. O ile wiem, każdego ranka Kitty witała dzień w ten sam sposób - zatrzymanie się w wejściu, podrapanie pazurem w ziemię, szybki bieg pół metra do przodu, cofnięcie się do wejścia, znów metr z kawałkiem, kolejny odwrót, aż w końcu docierała do kolejki do karmnika po drugiej stronie wybiegu. W połowie drogi Lizzie zawsze się odwracała i zaczynała ją dziobać, po czym rytuał się powtarzał, aż coś odwróciło uwagę jednej z nich. Kitty kupiłam jako ostatnią, choć nie najmłodsza, a etykieta wśród drobiu wymagała, by niezależnie od okoliczności zachowywać zastany porządek.

Uznałam, że gdybym miała drugie życie, mogłabym się poświęcić badaniu kur. Dopiero tego ranka, gdy wylałam resztki herbaty za płot (wszystkie podbiegły, żeby sprawdzić co to - były niepoprawnie ciekawskie), uświadomiłam sobie, że mimo prowadzonej przez kilkanaście lat hodowli tak naprawdę wiem o nich bardzo mało. Problem polegał na tym, że były zbyt łatwe, zbyt uległe, wymagały minimalnego wysiłku. Zdałam sobie sprawę, że traktowałam je jako coś oczywistego. Niektórych aspektów w ogóle nie rozumiałam. Na przykład dlaczego Jane, Australop o wspaniałym czarnym upierzeniu, błyszczącym i opalizującym na zielono w promieniach słońca, składała białe jaja? Dlaczego, choć większość wyhodowałam od kurczęcia, nadal wahały się albo nawet protestowały, gdy je łapałam? Kitty niegdyś z zadowoleniem układała się w łóżku Daisy, a po chwili wyrwała się na wolność. Uświadomiwszy sobie, że kura woli składać jaja w nocy, w końcu przekonałam Daisy, by pozwoliła na jej powrót do stada - po tym wszystkim Kitty stała się patologicznie płochliwa. (I, jak to bywa z dziećmi, gorące pragnienie Daisy, by każdej nocy spać z kurą, wkrótce znikło. Pojawiły się inne zwierzęce obsesje. Najpierw złote rybki, a później, gdy w końcu zrozumiała, że one nie nadają się do przytulania, myszki - India, Africa i China. Przed kilkoma miesiącami Daisy upierała się, że jeśli nie pozwolimy jej na zabieranie Chin, swojej ulubienicy, w kieszeni do szkoły, jedna z nich na pewno umrze).

Podczas tych kilku spokojnych chwil smakowałam okruchy życia. Popijając herbatę i oglądając kury, nim reszta świata podniosła głowę. Rzuciłam im garść karmy. Kitty podeszła do płotu i jadła mi z ręki. Jej dziób łagodnie stukał w moją dłoń. Zadowolone gdakanie. Lizzie przybiegła i ją odepchnęła. Poczulałam nagłe pragnienie, by chronić najmniejszego członka stada. Weszłam do kurnika. Mimo kurzu, gryzącej woni

odchodów, resztek kości, skorup i wszystkiego, co kury wygrzebały z ziemi w niekończącym się poszukiwaniu przysmaków, kurnik i wybieg były przyjemnym miejscem. Nigdzie indziej nie spędzałam chwil tak pełnych czułości. Skośne promienie światła przebijające wiry złocistego kurzu. Pióra unoszące się i opadające na ziemię. Gdakanie, które wydawało się jednocześnie zadowolone i nerwowe. I spowijająca to wszystko aura oczekiwania emanująca z każdej, nawet najgłupszej kury. Czysty optymizm, który kazał im składać jaja dzień po dniu, kiedy dzień po dniu jaja te były im odbierane. Niektórzy mogliby nazwać to głupotą, lecz ja widziałam w tym ogromną szczodrość. Kura nioska była tak wierna sobie, pełna oddania i skupienia. A później jajo - czasem na ziemi, czasem pokryte łajnem, czasem czyste i nieskalane niczym świeże mydło. Lecz wewnątrz więcej niż kompletne - przepełnione nowymi możliwościami.

Tamtego ranka uderzyło mnie, że powinnam była wykorzystać okazję i częściej przyglądać się temu zakątkowi ogrodu, rozważając ten zwyczajny aspekt życia podwórka. Teraz już za późno.

Choć było bardzo wcześnie, poszłam do pokoju Estelle i Daisy. Kiedy spały, miały w sobie delikatność i miękkość, które znikwały w chwili przebudzenia. Przez minutę albo dwie napawałam się ich niewinnością i czystością. Później ostrożnie ułożyłam obok nich kury. Dłonie Estelle odruchowo otoczyły Lizzie, Daisy poderwała się gwałtownie, gdy poczuła łaskotanie i ciepło Kitty na policzku.

- Co się dzieje? - spytała.

Dopiero minęła szósta, lecz uznałam, że moje córki będą musiały poradzić sobie z czymś o wiele gorszym niż wczesne wyciągnięcie z łóżek.

- Muszę pokazać wam coś bardzo ważnego - odparłam.

Tuląc swoje kury, poszły za mną do kuchni, gdzie przygotowałam im mleko czekoladowe i usadziłam na taboretach po drugiej stronie ławy. Kury usadowiły się na ich kolanach. Znow włączyłam czajnik, wzięłam puszkę z herbatą i zaczęłam mówić.

- Przygotowanie doskonałego kubka herbaty nie należy do rzeczy, których możecie nauczyć się przypadkiem - powiedziałam. - Choć, jak twierdzi pani Beeton, zrobienie dobrej herbaty nie jest wielką sztuką. „Jeśli woda wrze i nie oszczędza się na aromatycznych liściach, napój niemal zawsze okaże się dobry”.

- Kim jest pani Beeton? - spytała Daisy.

- Nieważne - stwierdziła Estelle, wyczuwając powagę chwili.

Zrobiłam herbatę, opisując cały proces, usprawniając go na potrzeby dwudziestego pierwszego wieku i biorąc pod uwagę warunki miejscowe. Wykorzystałam nieduży brązowy czajniczek, doskonały na dwie osoby, mieszankę Irish Breakfast i jeden z białych kubków. Wyjaśniłam, że w przyszłości usłyszą o kwestiach w rodzaju ogrzewania czajniczka, wlewania herbaty do mleka lub mleka do herbaty, jak również o debacie między zwolennikami czajniczków ceramicznych i metalowych, która podzieliła purystów na dwa przeciwstawne obozy, doprowadzając do konfliktu na miarę Swifta.

- Swifta? Co to znaczy? - spytała Estelle.

- Jonathan Swift. Autor *Podróży Guliwera*. Pamiętasz?

Pokiwała głową. Parę lat temu, kiedy miała dziewięć lat, przeczytałyśmy razem wersję przeznaczoną dla dzieci.

- Pisał tam o zwolennikach grubszego końca i cieńszego końca - przypomniałam. - Zależnie od tego, z której strony tłukło się ugotowane jajko. Czy coś w tym rodzaju. Teraz się tym nie przejmuj. Jajkami zajmiemy się później.

Następnie powiedziałam im, że będą musiały podgrzewać czajniczek jedynie w najzimniejsze dni. Co tutaj nie zdarza się zbyt często, zwłaszcza biorąc pod uwagę globalne ocieplenie. Nie muszą też, dodałam, przejmować się zasadą „łyżeczka na osobę i jedna na czajniczek”. Wszystko zależało od tego, jak mocną herbatę ktoś lubi. Jak wiedziały, ja piłam raczej słabą (na to pokiwały głowami), inni zaś, szczególnie dolewający mleka do herbaty (jak ich babcia Jean), woleli mocniejszą.

Kiedy zaparzyłam i nalałam herbatę, ustawiłam przed nimi kubki i kazałam im odetchnąć głęboko. Wiedziałam, że nie zechcą się napić. Pociągnęły nosami i przytaknęły, kiedy spytałam, czy wyczuwają aromat słodu.

- Moim zdaniem - dodałam - Irish Breakfast to wciąż najlepsza herbata na początek dnia. Ewentualnie inna mieszanka z Assam. W żadnym wypadku Billy Tea, dziś nie smakuje już tak jak kiedyś.

Później wylałam wszystko i zaczęłam od początku, żeby upewnić się, że zrozumiały cały proces. Dopijając mleko czekoladowe, obserwowały mnie, aż nie mogły się już skupić i wraz z kurami wróciły do łóżek.

Ostatnio koncentrowałam się na rzeczach drobnych, ale znaczących. Dziewczynki na wiele mi pozwalały. Jeszcze rok temu zaczęłyby jęczeć i narzekać. Nie widziałyby sensu w parzeniu herbaty, którą pija tylko starszankowie. Obecnie lepiej tolerowały moje ekscentryczne pomysły. Czasem wpatrywały się we mnie z namysłem, oceniając, czy to naprawdę ja. Pomyślałam, że przynajmniej nauczyłam je parzyć doskonałą herbatę. Inaczej mogłyby przeżyć całe życie, wierząc, że wszyscy korzystają z torebek. Choć tak naprawdę nie potrafiłam znaleźć przekonujących argumentów, dlaczego byłoby to coś złego.

Siedząc samotnie w kuchni, uniosłam kubek do ust, ale moja doskonała herbata smakowała gorzko i żołądek podszedł mi do gardła. Wróciłam do łóżka, gdzie Archie właśnie się budził.



*Droga Delio,
z warzyw moje dzieci jedzą wyłącznie frytki. A mąż nie znosi sałatek. Masz jakiś pomysł, jak zachęcić ich do jedzenia zieleniny i innych jarzyn? Mam dość gotowania posiłków, których nie chcą jeść.
Zmęczona*

*Zmęczona,
pani Beeton stwierdziła: „Pani domu jest niczym DOWÓDCA ARMII lub właściciel przedsiębiorstwa. Jej duch będzie widoczny w całym przedsięwzięciu”. Pokaż swój autorytet, Zmęczona. Jesteś kucharką, więc przejmij dowodzenie i gotuj to, co według Ciebie powinni jeść. Właściwie powinnaś gotować to, na co Ty masz ochotę, nawet jeśli Twoim ulubionym daniem są sardynki na toście albo flaki w sosie curry. Jeśli musisz, jedz sama. To ich problem, nie Twój. Pamiętaj, Ty jesteś szefem.*

A czym właściwie są zakamarki serca?

Na cmentarzu przychodzą do głowy najdziwniejsze myśli, a słownik jest zazwyczaj ostatnią rzeczą, którą ma się tam pod ręką. Wiedziałam wszystko o sercach, lecz kiedy wrócę do domu, będę musiała sprawdzić te zakamarki.

Był chłodny, lecz słoneczny dzień pod koniec zimy. Wędrowałam przez cmentarz w Rookwood w poszukiwaniu grobu. Ten, przed którym stałam w środku milczącej nekropolii, zdobiła pochylona płyta z napisem:

*Artur Edward Proudfoot
Zmarły parafianin*

Poniżej dodano:

*Również Alice Elisabeth
Jego żona*

A poniżej, mniejszymi literami, najsmutniejsza inskrypcja ze wszystkich:

*Henry James Proudfoot
Martwo urodzony*

Na samym dole zaś:

*Zmarli w 1875 r.
Odeszli, lecz nie zostaną zapomniani
Na zawsze pozostaną w zakamarkach naszego serca*

Cała historia rodzinna w jednym krótkim i bolesnym roku, zamknięta na nagrobnej płycie wzniesionej przez krewnego, o którym też już pewnie nikt nie pamięta. Nad wszystkim unosił się duch Dickensa. Szczególnie kiedy największa i najczarniejsza wrona, jaką widziałam w życiu, wylądowała na pomniku dwa rzędy dalej i wbiła we mnie wyzywające spojrzenie.

- Sprawdźmy na planie - powiedziałam do dziewczynek, wciąż rozmyślając nad zakamarkami serca.

Archie znajdował się sporo przed nami, robił zdjęcia olbrzymich pomników nagrobnych wystawionych przez Włochów. Niektóre krypty na cmentarzu były większe niż mieszkania w śródmieściu - i pewnie droższe. Całe ulice przeznaczone na kwatery dla zmarłych. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby z jednej z krypt wyłoniła się kobieta w czarnej mantylce i ruszyła statecznie alejką albo gdyby paru staruszków siedziało na rogu, pałac i grając w karty.

W umarłych nie ma nic niezwykłego, już dawno pogodziłam się z tą myślą. Niezwykle jest natomiast to, że spędziłam większość życia, nie odwiedzając ich. Teraz przygotowywałam się do napisania książki. I szukałam mojego ojca, Franka, który trzydzieści pięć lat temu zmarł nagle na atak serca. Nigdy nie odwiedziłam jego grobu. Teraz, gdy wiedziałam, że umieram, musiałam tu przyjechać.

*

- Nudzę się. To takie nudne. Kiedy wychodzimy?

- Mówiłam ci, żebyś wzięła sobie książkę albo coś w tym rodzaju.

Ale narzekanie Daisy było uzasadnione. Ośmiolatkę szybko znuży włóczenie się z dorosłymi po cmentarzu. Wiedziałam, że Estelle też się nudzi, ale rozumiała, dlaczego przyjechaliśmy do Rookwood - a poza tym zabrała konsolę Nintendo DS.

Ja natomiast byłam zachwycona. Mimo rozwieszonych wszędzie planów cmentarza i ustnych wskazówek matki nie znalazłam jeszcze grobu ojca, ale z przyjemnością wędrowałam między rzędami rodzinnych mogił. Widzieliśmy grobowce przypominające wozy kempingowe stojące na podstawach, które wyglądały na tymczasowe. Może rzeczywiście były tymczasowe, może niektóre rodziny planowały zabrać swoich zmarłych krewnych ze sobą, gdyby wyprowadzili się do innego stanu albo za morze. Wpatrzyłam się w litewski pomnik i przyjrzałam uważnie garści ziemi z Litwy umieszczonej za szklaną płytą. Przypominała bardziej wynik eksperymentu na lekcji biologii niż zwykłą glebę.

- Tutaj! - zawołał Archie.

Podążyłam za nim i w końcu znalazłam grób ojca. Pomnik był bardzo prosty, czego mogłam się spodziewać, znając praktyczne podejście Jean. Płyta z szarego granitu, skromna i niska, z mosiężną tablicą z imieniem i nazwiskiem. Napis brzmiał:

Frank (Francis) Bennet

(Bez „Ukochany” - to nie było w stylu Jean)

*Mąż Jean
Ojciec Delii
Tęsknimy*

I tyle. Żadnych szczegółów. Żadnej daty. Przed płytą Jean posadziła jakąś roślinę okrywową, która wymagała przycinania raz na pięć lat - czyli nie częściej niż matka ostatnio odwiedzała cmentarz.

- Hibbertia - stwierdził Archie. - Przetrwą nawet wojnę atomową.

Pochyliłam się i przyjrzałam uważnie. Pod koniec zimy aura była łagodna i na krzakach pojawiły się już pierwsze pąki. Wkrótce pokryją je płaskie żółte kwiaty.

Kiedy ojciec zmarł, miałam pięć lat i nie zostałam zabrana na pogrzeb. W tamtych czasach wszystko, co wiązało się ze śmiercią, było uciszane, ukrywane i pilnie strzeżone, niczym wściekła bestia, którą rodzina mimo wszystko musiała trzymać w domu. Szczególnie dzieci odsuwano jak najdalej, nawet od zmarłych rodziców, jakby ugryzienie potwora mogło zakazić je na całe życie. W ciągu kilku pierwszych lat po śmierci ojca Jean czasem jeździła na cmentarz z puszką pasty do nagrobków i świeżym bukietem sztucznych kwiatów, ale nigdy mnie nie zabierała - a i ja sama chyba tego nie pragnęłam. Teraz wszystko wyglądało zupełnie inaczej i wydawało się normalne, że zabrałam ze sobą córki - nawet jeśli narzekały - podobnie jak normalne wydawało się omawianie z nimi różnych elementów procesu umierania. Którego przecież były świadkami, miesiąc po miesiącu, tydzień po tygodniu.

- Wystarczy? - spytał Archie po kilku minutach stania nad grobem Franka Benneta.

Ledwie mogłam go sobie przypomnieć. Był jedynie wysoką sylwetką z przeszłości. Pamiętałam go głównie w gabinecie naszego domu, pełnym książek, które zdejmował z półek z taką ostrożnością, jakby były bardzo delikatne. Rzadko pozwalano mi je dotknąć. Miał też szopę w ogrodzie, pełną narzędzi, do których również nie mogłam się zbliżyć. Pozwalał, bym przyglądała się z bezpiecznej odległości, jak hebluje kawałek drewna albo ostrzy kosiarkę do trawy. Najsilniejsze wspomnienia dotyczą chwil, kiedy biegłam do jego gabinetu albo szopy z wiadomościami od matki dotyczącymi telefonów albo obiadów, i ogromnego poczucia ważności, jakie mi to dawało.

Spodziewałam się, że ten moment będzie bardziej przejmujący, ale się myliłam. Właściwie nic nie czułam, stojąc nad grobem. Ale cieszyłam się, że przyjechałam, zobaczyłam go i w pewnym sensie się z nim pożegnałam. Pierwszy zawał mojego ojca był nagły i śmiertelny. W jednej chwili siedział w swoim gabinecie przy biurku, w następnej leżał na podłodze. Zastanawiałam się, co stało się z zakamarkami jego serca, czy pękły, czy się zamknęły. A może od początku były zepsute.

Gdy wyjeżdżaliśmy z Rookwood, zauważyłam po lewej ogromny magazyn z otworami przeładunkowymi z jednej strony. Z pewnością zmarłych nie było tak wielu, by ich przechowywać i przewozić niczym towary. Na końcu budynku dostrzegłam czerwono-biały znak. Poczta.

- To pewnie centrum dystrybucji poczty - powiedziałam. - Umieścili je w dziwnym miejscu.

- No. Tam to musi być sztywna obsługa - stwierdziła po chwili Estelle i obie zaczęłyśmy się śmiać.

- Nie rozumiem - powiedziała Daisy z niezadowoloną miną.

- Nieważne, kochanie - stwierdził Archie, skręcając na autostradę. - Nadal chcesz jechać do Waverley?

Spojrzałam na zegarek. Niedawno minęło południe.

- Czemu nie? Może zjemy tam też lunch.

- I tak będzie nudno - odezwała się Daisy. - Czemu nie możemy wybrać się na inną wycieczkę, czemu nie możemy pójść na plażę?

- To przy plaży. Później możemy pójść na Bondi i kupić lody.

- Ale ja chcę popływać! Chcę pojechać na plażę Manly.

- Nie - sprzeciwiłam się, wsuwając płytę CD do odtwarzacza - nie jest wystarczająco ciepło, by pływać. Poza tym od tej chwili to ja decyduję, gdzie wybieramy się na wycieczki.

Samochód wypełniły pierwsze takty *Heartbreak Hotel*.

- Fuj, znowu on - jęknęła Estelle. - Nie możemy posłuchać czegoś innego?

- Nie - odparłam. - Od tej chwili to ja wybieram muzykę.



Droga Delio,

dziewczyna powiedziała mi, że moja łazienka jest obrzydliwa i nie zostanie u mnie na noc, jeśli jej nie sprzątnę. Owszem, w paru miejscach są brązowe plamy, ale ogólnie wydaje mi się zupełnie czysta. Różne produkty były już w użyciu, ale te, które według instrukcji należy nanieść i spłukać, nie zadowoliliły mojej dziewczyny. Jeśli przed weekendem nie będę mieć czystej łazienki, nie wiem, co zrobić. Proszę, pomóż mi.

W desperacji

W desperacji,

podobno dziewięćdziesiąt pięć procent mężczyzn cierpi na selektywne upośledzenie wzroku, zwane również ślepotą kuchенно-łazienkową. Schorzenie to sprawia, że ofiara umie się idealnie ogolić, zlokalizować piwo w lodówce i puszkę fasolki w szafce, ale nie widzi pleśni w łazience i stert pojemników po jedzeniu na wynos w kuchni. Ludzkie oko to niezwykle narząd, zdolny w ciągu mikrosekund rozpoznać wszystkie niewielkie składniki pizzy. Nie ma też żadnej dowiedzionej różnicy funkcjonowania wzroku między płciami. Mamy dwudziesty pierwszy wiek i najwyższy czas, żeby ludzie tacy jak Ty w końcu się otrząsnęli.

Po drugiej operacji i trzeciej diagnozie, gdy pogodziłam się z myślą, że najnowszy *Domowy poradnik* będzie ostatnią moją książką i gdy zastanawiałam się, na ile listów zdążę odpowiedzieć, nagle wpadłam na jeden z najlepszych pomysłów. Nie musiałam kończyć z *Domowymi poradnikami*. Zadzwoiłam do Nancy i zostawiłam wiadomość. Dwie godziny później oddzwoniła, błagała mnie, żebym się rozluźniła, zapomniała o pracy i dała sobie spokój z tym planem.

- Po prostu nie chcesz podpisywać umowy z kimś, kto umrze w ciągu roku - powiedziałam, tylko częściowo żartując. Nancy była dobrą osobą, ale jednocześnie kobietą interesu. Co by powiedział jej księgowy na podpisanie umowy z chodzącym trupem?

- A może po prostu ciesz się czasem, który ci pozostał? - zaproponowała.

- Kiedy dla mnie to frajda - odparłam. - Kocham swoją pracę. I jestem idealnym autorem tej książki - przypomniałam jej.

Czy znała wielu ludzi, którzy mieli doświadczenie w pisaniu tego typu poradników połączone z doświadczeniem umierania?

- Pomyśl o tytule - powiedziałam. - Czy *Domowy poradnik umierania* nie brzmi chwytnie?

- Chwytnie? - powtórzyła Nancy. - Chciałaś powiedzieć „prowokująco”? Nie wspominając już o „dziwacznie”? Kto, u licha, chciałby kupić taką książkę?

- Jest oryginalna. I wszyscy umierają, Nancy. Pomyśl o bazie potencjalnych czytelników.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza. Wykorzystując ją, wymieniłam swoje powody: doskonałe udokumentowanie, osobiste doświadczenie, luka na rynku (usłyszałam ciche westchnienie na te magiczne słowa), fakt, że zawsze byłam terminowa. Nie próbowałam gry słów z „terminalny”, choć mnie kusiło, bo Nancy miała nieprzewidywalne poczucie humoru, a jednocześnie przerażali ją ci, którzy nie traktowali poważnie swojej śmiertelności. Dokładniej zajęłam się kwestią luki na

rynku. Czy ktoś z jej konkurentów opublikował taką książkę? Pośród tylu poradników i przewodników, czy ktokolwiek stworzył cokolwiek przypominającego poradnik umierania? Nie śmierci. Nie żałoby. Umierania. Pisany z perspektywy kogoś, kto zna to z własnego doświadczenia. Z punktu widzenia praktyka. Profesjonalisty.

Niemal słyszałam wyładowania między neuronami, mózg Nancy już zapalał się na myśl o dużym nakładzie, reklamie w księgarniach, stojakach i fragmentach w kolorowych czasopismach.

- Nancy, to mi zajmie dwa, najwyżej trzy miesiące.
- Potrzebuję streszczenia na piśmie - odpowiedziała.

Więcej na www.wnk.com.pl